

J
E
G
O



PENELOPE BLOOM

ALBATROS

1. Emily

Kropelki wody spływały wężykami po szybie samochodu Lilith od strony pasażera. Lilith była moją jedyną prawdziwą przyjaciółką, a także jedyną szansą na prywatny transport po mieście. W ten chłodny wczesnojesienny poranek chyba przesadziłam z ubraniem na cebulkę, ale przez całe lato czekałam, żeby włożyć moje ulubione ciuchy, no i zawsze mogłam zdjąć kilka warstw, gdyby zrobiło się za gorąco.

Koniuszkami palców dotknęłam listu, który tkwił w kieszeni mojej kurtki. Tak długo nosiłam go ze sobą i ciągle czytałam, że papier zmiękł. Ale kiedy go dotykałam, nadal czułam podniecenie i lęk. Ten list oznaczał nowy początek. Szansę, żeby zrobić naprawdę duży krok w stronę marzeń. Przez lata wydawało się, że moje dążenie do tego, by zostać prawdziwą, zawodową artystką jest tak samo pozbawione celu, jak droga kilkulatka, który zatacza

kółka na swoim trzykołowym rowerku. Nigdy nie potrafiłam zmierzać prosto przed siebie i za każdym razem, kiedy wydawało mi się, że dokąds się zbliżam, nie trafiałam w cel i musiałam zaczynać te wszystkie kółka od nowa.

Ale tym razem miało być inaczej. List w mojej kieszeni oznaczał prostą drogę. Prostą jak strzała. I nawet ja nie potrafiłam tego skopać. Po prostu musiałam pojawić się w styczniu na lotnisku. To było łatwe jak oddychanie. Ale to niedobre porównanie: cierpiałam na bezdech senny i wiedziałam, że oddychanie nie zawsze jest najłatwiejszą rzeczą na świecie. Tak czy inaczej mogłam temu podołać.

Jesień. To była moja ulubiona pora roku. Lato się skończyło, a w każdym razie wykasływało swoje ostatnie słowa na łożu śmierci. Wiem, podobno lato jest najlepsze. Te wszystkie kostiumy kąpielowe, przyjęcia w ogródkach, pikniki i rzucanie golden retrieverowi frisbee w parku. Taak! Lato rządzi! Tylko że ja nigdy tak nie myślałam. Dla mnie lato oznaczało pot zbierający się pod cycami, przebywanie cały dzień w domu, chyba że chciałabym całkiem roztopić się z gorąca, plus coroczne oparzenia słoneczne, które tylko przypominały mi, dlaczego już nigdy nie mogę się zjarać na słońcu. A, i jeszcze te wszystkie reklamy klimatyzatorów w radiu, jak to trzeba „walczyć z upałem”.

No więc pieprz się, lato. Następne będzie dopiero w przyszłym roku, a teraz nadszedł czas maratonów strasznych filmów i halloweenowych reklam m&m'sów. Liście

przybierały wszystkie odcienie żółci, pomarańczu i czerwieni, jakie tylko można sobie wyobrazić. I obojętne, czy rankami padało, czy nie, nie mogłam powstrzymać znajomego uczucia podniecenia nadciągającymi świętami. Na taki poranek jak dzisiaj czekałam przez cały rok, na dzień, kiedy czuje się zmianę, jak tylko człowiek wyjdzie na dwór. Powietrze miało w sobie rześkość i energię i aż chciało mi się zabrać do pracy, chociaż w moim przypadku zabieranie się do pracy miało urok zabierania się do stupięćdziesięciokilowego, spoconego i kiepsko owłosionego faceta.

Zawsze kochałam Halloween. Może nie dla niego samego, ale to było pierwsze ze świąt w chłodnym sezonie, na które czekałam cały rok. A w tym roku to miało być coś więcej niż kolejna tura świętowania. To miały być ostatnie miesiące, zanim polecę przez ocean i rozpocznę studia w Paryżu. Nieważne, ile razy o tym myślałam i ile razy czytałam od nowa list, to ciągle nie wydawało się prawdziwe.

– Przestań się tak do siebie uśmiechać – jęknęła Lilith. Miała grube kreski eyelinera na powiekach, perfekcyjnie przyciętą czarną grzywkę i naszyjnik obrozę z czarnej koronki na długiej, bladej szyi. Nieskazitelną, porcelanową skórą nadawała jej wygląd królowej piękności, ale wyraz twarzy niezmiennie, nieustannie i bez cienia wątpliwości wskazywał, że ta kobieta nienawidzi tego, że żyje.

I że jeśli już w ogóle musi tu być, sprawi, że wszech-

świat to popamięta.

Miałam szczęście, że poznałyśmy się w szkole średniej i że od tego czasu byłyśmy przyjaciółkami, jakkolwiek nieprawdopodobnie by to brzmiało. Może dlatego, że Lilith przetrwała szkołę tylko dzięki moim notatkom i pomocy w nauce, a może dlatego, że potrafiłam ochronić ją przed prześladowaniami przez inne dzieciaki, które nieustannie prowokowała. W każdym razie lubiłam ją, prawdopodobnie dokładnie z tego samego niewytłumaczalnego powodu, dla którego ludzie lubią koty. Chcesz narobić na moją poduszkę, bo pozwoliłam sobie spędzić dzień poza domem? Chcesz nasikać poza kuwetę, chociaż jest nieskazitelnie czysta? A może chcesz się upewnić, po raz dziesiąty w tym tygodniu, że grawitacja wciąż działa, i zrzucić mi drinka na podłogę? Taka była Lilith, jeśli odjąć zwyczaje łazienkowe, przynajmniej o ile mi było wiadomo. Gdzieś tam głęboko, bardzo, bardzo głęboko wiedziałam, że potrzebuje uczucia jak każdy z nas. I podobało mi się, że tak usilnie udaje, że jednak nie.

– Powiedziałam, przestań – powtórzyła swoim normalnym, martwym głosem. – Widzę kątem oka, że się uśmiewasz. Zaraz się porzygam.

– Nic na to nie poradzę. Jest jesień. – Powiedziałam to śpiewnym tonem, częściowo dlatego, że otwarty sposób okazywania radości działał na Lilith jak płachta na byka.

Skrzywiła się.

– No dobra, może przynajmniej niedługo zdechną te obrzydliwe stwory, które próbujesz wyhodować w swojej kuchni.

– Rośliny, Lilith. To się nazywa rośliny i biorąc pod uwagę, że znajdują się w mieszkaniu, a nie na dworze, muszę ci z przykrością oznajmić, że prawdopodobnie nic im nie będzie.

– Wypadki się zdarzają. – Nie spuszczała oczu z drogi, ale zauważyłam, jak zalsniły z radości, kiedy naszły ją mordercze myśli.

– Co to za człowiek, co nie lubi roślin?

– Śmierdzą.

– Ooo! – powiedziałam i wskazałam billboard na poboczu autostrady. – Latte o smaku dyniowym! Już połowa października, a ja jeszcze żadnej nie piłam. Musimy. Proszę.

– Hm. – Przyjrzała mi się z ukosa, nie zwracając uwagi na pojazdy pędzące z przeciwnika.

Uśmiechnęłam się nerwowo.

– Droga – powiedziałam cicho.

Powoli skierowała wzrok z powrotem na jezdnię.

– Droga nie ucieknie.

– W zasadzie masz rację. Ale nam może się coś przydarzyć. Jedziemy prawie... sto pięćdziesiąt – powiedziałam, pochylając się, żeby spojrzeć na prędkościomierz. Zaśmiałam się, ale serce mi waliło. Byłam pewna, że

jeszcze kilka sekund, a zjedziemy z drogi i zginiemy w płomieniach. A ja miałam po co żyć i nie chciałam młodo umierać. Jeszcze nie puścili ostatniego sezonu *Gry o tron*, nigdy nie jadłam jajek w koszulce, a na mojej liście rzeczy do zrobienia w życiu pozostawało co najmniej dziesięć pozycji, poczynając od wieczornej jazdy na łyżwach z jakimś nieziemskim facetem do muzyki z *Dirty Dancing*.

Ale serio, gdybym umarła, zanim zaczęłabym studia w Paryżu... Na pewno powróciłabym jako duch i straszyla Lilith. Wykorzystałabym cały mój artystyczny talent, żeby rysować przerażające penisy na zaparowanych drzwiach jej kabiny prysznicowej i to nie byłyby takie penisy jak w szkolnych graffiti. Byłyby straszne i szczegółowo narysowane. Poza tym... no dobra, moja wyobraźnia, jeśli idzie o straszenie, nie sięgała dalej. Ale gdyby do tego doszło, coś bym wymyśliła.

Lilith wzruszyła ramionami, kiedy przypominałam jej, żeby patrzyła na drogę. Zazwyczaj trudno powiedzieć, kiedy jest rozbawiona, ale ja potrafię to wyczuć. Emituje wtedy coś jakby ciepło. Sprawiam chyba wrażenie niewinnej, a Lilith myśli, że jestem krucha i delikatna, chociaż znamy się od lat. Więc na swój koci sposób trąca mnie łapą i przysuwa coraz bliżej krawędzi, żeby zobaczyć, co się stanie.

Kiedy zjechałyśmy z autostrady, wyjrzałam przez okno. W sklepach pojawiły się już halloweenowe gadżety, od kandyzowanej kukurydzy po dynie, a ja zdążyłam

obejrzeć dwa maratony horrorów, chociaż bałam się tych filmów jak chihuahua fajerwerków na Dzień Niepodległości. A już najbardziej bałam się Freddy'ego Kruegera. Serio, czy może być coś bardziej przerażającego niż facet, który dopada cię w twoich własnych snach? Przynajmniej przy tych innych złych facetach nie możesz udawać blondynki z horrorów, która nie wie, że zejście do piwnicy to pewna śmierć, wejście na górę po schodach to też pewna śmierć, a wizyta w szopie pełnej ostrych narzędzi to śmierć najpewniejsza ze wszystkich. Serio, gdybym ja miała zagrać w horrorze, zebrałabym moje przyjaciółki, postawiła przed lustrem i spróbowała ustalić, która z nas jest najbardziej podobna do tej słodkiej dziewczyny z sąsiedztwa. Bo wszystkie inne giną, a facet najbardziej macho pewnie jest ukrytym seryjnym mordercą. Ale bez względu na to, jak bardzo wątek się powtarza, ciągle oglądałam horrory ukryta za dużą poduszką.

Powiedziałam Lilith, żeby zaparkowała, a ja pójde po kawę. Trochę z tego powodu, że chciałam wyjść na zewnątrz i wciągnąć do płuc jesienne powietrze, ale też dlatego, że już wcześniej widziałam, jak ona przeraża pracowników fast foodów. Raz powiedziała mi, że kiedyś znalazła martwą muchę, schowała ją do plastikowej torebki z suwakami, a potem wrzuciła do frytek; wszystko po to, żeby dostać darmową porcję. Co najgorsze, byłam nieomal pewna, że nie chodziło jej o pieniądze. Po prostu

lubiła dręczyć ludzi.

Owinęłam szalik nieco ciaśniej wokół szyi. Tak, szalik. To była pogoda na szalik, a ja po prostu uwielbiałam owijać się czymś wielkości niemowlęcego kocyka i trzymać w tym nos przez cały dzień. Szkoda, że już się nie nosi peleryn. Nie widziałam tego w żadnym z historycznych filmów, ale dałabym sobie rękę uciąć, że ludzie owijali się pelerynami i używali ich jako koców, kiedy siedzieli w tych swoich zamkach.

Rzeńskie powietrze na zewnątrz sprawiło, że zachciało mi się skakać i klaskać w dłonie, ale Lilith pewnie wybuchłaby, gdyby dostrzegła we wstecznym lusterku taką radość, więc się powstrzymałam.

Udało mi się zdobyć kawę bez wpędzenia nikogo w kłopoty i kilka minut później byłam z powrotem w samochodzie. Lilith wzięła ode mnie kubek i pociągnęła łyk.

- Uch, obrzydliwa – jęknęła.
 - Co? – spytałam. – Coś źle zrobili?
 - Nie, jest okej. Wiedziałam, że będzie tak smakować.
- Uniosłam brwi i czekałam na wyjaśnienia.

Lilith zerknęła na mnie.

– Kiedy się pamięta, jakie to obrzydlistwo, łatwiej nie nawidzić wszystkich ludzi, którzy to piją.

– Taaa – powiedziałam i pokiwałam głową, zupełnie jakbym zrozumiała. Upiłam łyk kawy i zastygłam w bezruchu. Spodziewałam się, że Lilith wybuchnie śmiechem,

przynajmniej odrobinę, ale jej twarz pozostała nieruchoma.

Uśmiechnęłam się do siebie. Lilith pewnie o tym nie wiedziała, ale bawiła mnie ona i te jej... numery. Naprawdę miała wdzięk kota. Koty zawsze zachowują się, jakby cię nienawidziły i jakby były dla ciebie za dobre, ale ty wiesz, że one chcą, żebyś drapała je za uszami. Nawet jeśli tego nie okazują. Ciekawe, co zrobiłaby Lilith, gdybym po-drapała ją za uchem. Ale uznałam, że może narozrabiać bardziej niż kot, więc trzymałam ręce przy sobie. Któregoś dnia uda mi się wywołać uśmiech na jej twarzy, nawet gdybym musiała przynieść jej martwego ptaka.

Niedługo później podjechaliśmy pod dom spokojnej starości.

– Chcesz, żebym cię odprowadziła do drzwi? – spytała Lilith.

Uśmiechnęłam się.

– Nie, dzięki, mamusiu.

– To nie. Strasznie chce mi się pierdzieć, więc może będzie lepiej, jeśli nigdzie nie pójde.

– Nie uwierzysz, ale mogłam żyć bez tej informacji.

– No cóż, to twój szczęśliwy dzień. Mam jeszcze coś specjalnego.

– Co? Mówisz o rzeczach, o których naprawdę nie muszę wiedzieć?

Przytaknęła.

Widziałam, że czeka na przyzwolenie, i domyślałam

się, że będę tego żałować, ale westchnęłam:

– Dobra. Dawaj.

– Widzę szarego mężczyznę bez twarzy, który stoi nocami w rogu mojego pokoju. Patrzy, jak śpię. Budzę się sparaliżowana, nie mogę się ruszyć, tylko gałki oczne...

– Super! – Przerwałam, ponieważ czułam już gęsią skórę. – To na pewno pomoże mi na bezsenność. A teraz idę uczyć grubiańskich seniorów malowania. Dzięki za podwiezienie.

– Ach. William będzie tu dzisiaj. Ma to w grafiku. Chcę cię tylko uprzedzić.

William Chamberson to szef Lilith. Pracowała u niego jako sekretarka i nie było dla mnie jasne, czy powiedziała mi to, bo uważała, że ciągle mam do niego słabość. Tak naprawdę nigdy jej nie miałam, bez względu na to, co myślała. W gimnazjum mój chłopak zdradził mnie, trzymając się za ręce z inną dziewczyną kilka dni po tym, jak oficjalnie ogłosiliśmy, że ze sobą chodzimy. Więc wiedziałam coś o bólu i złamanym przez niewierność życiu. William miał żonę, a dziewczyna z gimnazjum, którą ciągle w sobie nosiłam, nigdy nie poleciałaby na żonatego mężczyznę, choćby był nie wiem jak czarujący i obdarzony zwalającą z nóg urodą.

Brat bliźniak Williama, Bruce, był dyrektorem wielomilionowej korporacji. W ciągu ostatnich tygodni spotkałam ich obu kilka razy, kiedy prowadziłam tu lekcje malo-

wania. Jedna z seniorek była babcią żony Williama, więc ta żona, brat Williama i żona brata wpadali regularnie na pokerka z mieszkańcami domu.

Bruce to był typ takiego zapiętego pod samą szyję Supermana, ze szczęką, którą mógłby przebić ścianę cegieł szybciej niż facet z reklamy lemoniady Kool-Aid z lat dziewięćdziesiątych. Jego oczy sprawiały, że człowiekowi wilgotniały dłonie, no i miał jeszcze do kompletu smukłe, muskularne ciało. Jego fryzura zawsze była perfekcyjna i wystarczyło popatrzeć na niego przez kilka sekund, żeby się zorientować, że albo już ma zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, albo zaraz się ich nabawi. Jeśli lubiło się swoich facetów... jeśli w ogóle lubiło się facetów, ciężko było dopatrzeć się w nim skazy. Poza, rzecz jasna, faktem, że był żonaty.

A William... Jeśli Bruce był Supermanem, William wyglądał jak Superman, który lubi imprezować, nigdy się nie spotkał z grzebieniem i miał drobny problem z kleptomanią. Razem stanowili jedną z tych niemożliwych par, ale zawsze zabawnie było patrzeć, jak skaczą sobie do oczu. Co robili nieustannie.

Kiedy dowiedziałam się, że Lilith pracuje jako sekretarka dla jakiegoś ultrawszzechmocnego biznesmena, przyznaję, przemknęło mi przez myśl: jak to możliwe, że szef z nią wytrzymuje? Ale kiedy spotkałam Williama, wszystko stało się jasne. Lilith była podstępny kotem,

a William... Wydaje mi się, że był z niego bardziej lis, jeśli dodać do tego entuzjazm szczeniaka i ogólnie dobre usposobienie. Czasami wydawał się beztroski i niewinny, ale za tym pogodnym nastawieniem ukrywał się przebiegły geniusz. Mogłam sobie wyobrazić rozbawienie w jego oczach, kiedy Lilith rzuciła jakiś drętwy dowcip na temat ważnego klienta albo odniosła się do kogoś ozięble, bo właśnie była w połowie esemesa.

Weszłam frontowymi drzwiami, niosąc niewielką torbę z przyborami do malowania, pozdrowiłam znajomych po drodze i zaczęłam rozkładać wszystko w pokoju wypoczynkowym, który służył mi jako pracownia. Nie zarabiałam na tym kokosów, ale zawsze to były pieniądze, a praca miała związek ze sztuką. W moim odczuciu równało się to zwycięstwu. Od kiedy postanowiłam, że zostanę artystką, zrobiłam się dość drażliwa. Każdy, kto dowiadywał się o mojej pasji, natychmiast czuł się w obowiązku rzucać dowcipami. „Och, jesteś artystką? To w którym Starbucksie pracujesz?”.

Mogli sobie darować. Bo nie pracowałam w Starbucksie. Pracowałam w... No dobra, byłam zatrudniona w domu spokojnej starości, a czasem łapałam dorywcze prace. A poza tym kiedyś pracowałam w kawiarni i to wcale nie był Starbucks. To była podróbka Starbucksa, więc jeszcze gorzej. Ale i tak mogli sobie darować.

Byłam zajęta rozkładaniem na stołach wszystkiego, co

mogli potrzebować moi uczniowie, kiedy usłyszałam nieznamy głos. Wyciągnęłam szyję, żeby spojrzeć do holu, i zobaczyłam mężczyznę, do którego ten głos należał. Jedna z moich brwi bezwiednie pofrunęła do góry.

Podobało mi się to, co zobaczyłam, i moim brwiom też – przynajmniej jednej z nich. Było w nim coś jakby odrobinę znajomego. Wyglądał trochę jak chłopak, którego poznałam w szkole średniej, ale moja szkoła średnia znajdowała się w strasznej dziurze, daleko od miasta, więc to byłby raczej niemożliwy zbieg okoliczności.

Miał proste plecy i budowę atlety. Krótko przycięte, ciemne włosy i hipnotyzujące usta, które natychmiast przyciągnęły mój wzrok. Wyglądał na bardzo podekscytowanego tym, co mówił, ale zwracałam uwagę na jego słowa mniej więcej tak samo, jak uczennica na najbardziej nudnych zajęciach w ciągu roku.

Bo to był ten facet. Ten, o którym marzysz w półmroku, w kąpielni z pianą. Kiedy wokół wanny migoczą płomienie świec, a w powietrzu unoszą się jedwabiste tony muzyki.

Mogłabym na miejscu napisać kilka tysięcy fantastycznych scenariuszy. *Pięćdziesiąt twarzy tego faceta*. Jeden, kiedy stoję na poboczu obok zepsutego samochodu – i nieważne, że nie mam samochodu – a on kładzie swoją wytatuowaną dłoń na masce i patrzy. „Chyba będę musiał zajrzeć tam na dół, panienko. I to będzie gorąca robota.

Będę musiał użyć mojego największego narzędzia. Mojego penisa. Mam zamiar kochać się z tobą”. No tak, faceci z moich marzeń nie byli jacyś przesadnie subtelni.

A może jestem otoczona przez trzech mężczyzn w kapturach w ciemnej uliczce i oto nadchodzi on. Kiedy ci żli leżą już na ziemi, zagarnia mnie w swoje wyrzeźbione ramiona i przez całą drogę do mieszkania szepcze mi do ucha słodkie słówka.

– Nie wiem, gdzie jest moja sztuczna szczeka.

Przez jedną nerwową chwilę myślałam, że to dalszy ciąg mojej fantazji. Ale nie. Nie powiedział tego Pan Cudowny, tylko słynna Babcia, która podeszła do mnie z drugiej strony. To była babcia żony Williama, klasowy trefniś w domu spokojnej starości.

– Ta... taaak? – spytałam.

– Ale znalazłam szczękę Earla – odparła i wybuchnęła śmiechem, błyskając strasznie źle dopasowanym sztucznym uzębieniem.

Trochę mnie zemdliło.

– Czemu... Co?

– Ten skurczybyk zmiażdżył mnie wczoraj w pokera. No to teraz będzie musiał miażdżyć swoje jedzenie na papkę, jeśli w ogóle ma w planach cokolwiek zjeść.

Znowu zachichotała i pokuśtykała w stronę swojego krzesła. Chodziła jak krucha staruszka, ale już dawno ją przejrzałam. Potrafiła poruszać się jak ktoś o wiele młodszy.

szy, ale wołała grać rolę słodkiej babuni, bo to pomagało jej tuszować różne sprawy.

Usiłowałam wyrzucić z głowy obraz sztucznej szczęki Earla w jej ustach i skoncentrować się na tym niesamowitym facecie w holu.

Rozmawiał z Williamem Chambersonem, który mnie zauważył i ruszył do mnie. Teraz obaj szli w moim kierunku. W nagłym przypiływie paniki prawie stamtąd zwałam.

Ale spróbowałam się uspokoić i przywołałam na usta sztuczny uśmiech, który miał pokazać, że w najbliższym czasie nie będę musiała zmieniać majtek.

– Ryan – powiedział William i wskazał na mnie. – To jest Emily. Emily, to jest Ryan. Który przejął piekarnię mojej żony, kiedy telewizja zaczęła jej zabierać za dużo czasu. I tak się składa, że potrzebuje artysty.

Ryan. Nawet imię brzmiało znajomo. Jeszcze w szkole musiałam widocznie wyjątkowo mocno stłumić jakieś wspomnienia, bo w ogóle nie mogłam skojarzyć imienia z twarzą mojego ciasteczkowego zauroczenia z tamtych dawnych czasów. No i nie mogłam przysiąc, że miał na imię Ryan. Ale z bliska uczucie, że go znam, stało się jeszcze silniejsze.

Ryan wyciągnął do mnie rękę. Strasznie formalnie. Przełknęłam ślinę i uścisnęłam jego dłoń, chociaż w moich fantastycznych scenariuszach pierwszym zetknięciem

naszych ciał miał być pocałunek.

Nie wyszedł mi ten uścisk, ścisnęłam tylko środkowy i wskazujący palec, zamiast całą dłoń. Ale on jakoś tak gładko zamaskował mój błąd, przyciągając moją rękę do siebie w staroświecki sposób, który wywołał u mnie rumieniec.

– Cześć – powiedziałam.

Zmrużył oczy i spojrzał na mnie. Gdyby to po prostu nie było niemożliwe, przypuszczałabym w tym momencie, że ma to samo uczucie *déjà vu*. Lekko przechylił głowę na bok, jakby chciał coś powiedzieć, ale tylko niemal niedostrzegalnie skinął nią.

– Więc jest pani artystką? William dużo opowiadał o pani pracach. Bardzo chciałbym je zobaczyć.

– Tak naprawdę to jestem biedna i lubię rysować. Do tego zmagam się z niepewnością, wątpliwościami i bólem emocjonalnym. To chyba kwalifikuje mnie jako artystkę, prawda?

Uśmiechnął się i odwrócił do Williama:

– Biorę ją.

– Gdzie? – spytałam.

Obaj mężczyźni wybuchnęli śmiechem.

Gdzie? Czy ja naprawdę to powiedziałam? Poczułam, że przydałby mi się taki staroświecki wiatrak do ochłody, ewentualnie duży worek po kartoflach do założenia na głowę.

– Nie dosłownie – powiedział Ryan. – Przepraszam.

Za bardzo wybiegam w przyszłość. Urządzam przyjęcie halloweenowe dla wszystkich w Szczęśliwym Piekarze i w Galleonie. Coś w rodzaju imprezy integracyjnej. Przynajmniej tak brzmi pretekst, żeby wydawać pieniądze Williamowi.

Szczęśliwy Piekarz. W mojej pamięci wyświetlił się nagle obraz chłopaka, którego znałam w szkole średniej i z którym od pierwszego dnia w ostatniej klasie byłam w parze podczas zajęć z gospodarstwa domowego. To był taki typowy popularny koleś, który chodził z najobrzydliwiej przepiękną i złośliwą dziewczyną w całej szkole. W związku z tym podejrzewałam, że będzie się obijał i będę musiała odwalać za niego całą robotę, ale okazało się, że on naprawdę uwielbia gotować i jest w tym niezły. To był ten facet. To musiał być on.

Za tym wspomnieniem przyszły następne. Jak nie wstawił się za mną, kiedy jego dziewczyna Haisley upokorzyła mnie przed połową szkoły, jak pozwolił jej nazmyślać o mnie niestworzone rzeczy i nie wziął mnie w obronę. Na dodatek przyznał się, że rozsmarował babeczkę, którą razem upiekliśmy, na moim projekcie z zajęć ze sztuki.

Tylko jedno powstrzymywało od nadeptnięcia mu na nogę i powiedzenia paru starannie dobranych słów: to, że prawie na pewno to nie była jego sprawka. To jego dziewczyna naśmiewała się ze mnie triumfalnie przez cały czas, a Ryan, którego znałam, prędzej wzięłby winę na siebie,

niż zrobił coś takiego.

Więc nigdy nie poznałam prawdy, ale teraz, po tych wszystkich latach, nie wydawało mi się to już sprawą życia i śmierci. Byliśmy dzieciakami i robiliśmy głupie rzeczy. Owszem, w szkole go nienawidziłam, ale teraz jego obecność oznaczała szansę na pracę. Poza tym minęło już naprawdę dużo czasu, więc głupotą z mojej strony byłoby ciągle żywić urazę, nie?

– Och, psiakrew. – William patrzył na ekran telefonu i nie bardzo zwracał uwagę na to, co powiedział Ryan. – Słuchajcie, wygląda na to, że będę musiał przelicytować kogoś na eBayu. Zostawię was razem, poważni państwo przedsiębiorcy, żebyście negocjowali warunki kontraktu.

– EBay? Ludzie ciągle tego używają? – spytał Ryan.

– A tak. Ciągłe kupuję jakieś głupoty na eBayu.

– Co na przykład?

W oczach Williama zamigotała psotna iskierka. Poruszył tajemniczo brwiami i odparł:

– Różne rzeczy.

A potem odwrócił się i odszedł.

Ryan potrząsnął głową.

– Pewnie dilda.

– Na pewno dilda – zgodziłam się. W moim żołądku dosłownie wirowały nerwowe motyle, ale oczy Ryana były przyjacielskie, co bardzo kontrastowało z jego niedbałym

(luzackim?) wyglądem. Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że będę rozmawiać o dildach z facetem, którego spotykam po raz pierwszy od czasów szkoły, zwłaszcza że kiedyś uznałam go za głównego wroga. To nawet nie pojawiło się w moich najśmielszych fantazjach.

Miałam zamiar zapytać, czy mnie pamięta, ale co, jeśli sobie przypomni i wycofa ofertę?

– Czy masz jakieś próbki swoich prac? Portfolio, coś takiego?

Jego słowa zawisły w powietrzu. Poczułam, że czas zwalnia, jakby ta chwila miała własną grawitację. Za niewinnymi słowami wyczułam jego ciekawość, jego zainteresowanie. Miałam wrażenie, że trzeszczą w powietrzu jak elektryczność, można było ich nieomal dotknąć. Czułam, że nawiązanie z tym facetem dobrych relacji to jak przykrywanie makijażem blizny. Innymi słowy, obawiałam się, że stara rana może się otworzyć.

– Mógłbyś przyjść na moją lekcję – powiedziałam. Trochę zakręciło mi się w głowie, kiedy usłyszałam własne słowa, niewinne jak jego, ale z ukrytym podtekstem. Nie powiedziałam, że wyślę mu mejlem portfolio albo że pokażę szkice, które leżały kilka metrów dalej, w mojej teczce. Nic nie mogłam na to poradzić. Każdego innego dnia może udałoby mi się sprawić, żeby ta chwila bezpiecznie minęła, ale dzisiaj? Dzisiaj czułam się podniecona zmianą pór roku i nadchodzącymi świętami. To

był dzień okazji, dzień robienia zuchwałych rzeczy i nie mogłam się powstrzymać. – Pracujemy nad klasykiem, *Gwiazdzistą nocą* van Gogha, ale w halloweenowych kolorach. To oczywiście banał, ale wszyscy pytali, kiedy będziemy robić *Gwiazdzistą noc*, więc...

– A czy van Gogh nie odciął sobie czasem penisa i nie wysłał go swojej dziewczynie?

Uśmiechnęłam się.

– To było ucho. Ale nie pamiętam, czy wysłał je pocztą, czy doręczył osobiście. Pewnie mu zależało, żeby dotarło jeszcze świeże, nie?

– To znaczy, że wypadł ci z pamięci najważniejszy szczegół. To jak różnica między czytaniem o czymś a robieniem tego.

– No tak, bo w końcu penis czy ucho, wszystko jedno. Za to metoda dostawy...

Pokiwał głową.

– Widziałem jego obrazy. Prawdopodobnie uszy były mu potrzebne bardziej niż penis.

Przykryłam dłonią uśmiech i potrząsnęłam głową.

– Jeśli się spodziewasz, że spodobaś mi się z powodu żartów o sławnych artystach, to masz rację.

Przerażało mnie, jak szybko to się działo. Powróciła ta swobodna gadka, którą się kiedyś przerzucaliśmy, jakby czas w ogóle nie upłynął. Pamiętałam, jak szybko się w nim wtedy zabujałam i jak bardzo bolało, kiedy odpowie-

dział chłodem na moje dziewczęce zauroczenie.

– A kto powiedział, że chcę ci się podobać? Ja tylko ćwiczę. Moim marzeniem jest zostać kimś tak sławnym, że jak sobie odetnę część ciała, dzieciaki będą się o tym uczyć w szkole przez stulecia.

Rzuciłam mu kpiące spojrzenie

– No to umowa stoi. Przyjdź na moją lekcję, a jak zobaczę, co potrafisz, powiem ci, ile okaleczeń ciała będzie potrzeba, żeby wstrząsnąć światem sztuki.

– Doskonale. Masz sprzęt do malowania palcami, prawda?

Przewróciłam oczami, ale kiedy tylko odwróciłam się do niego plecami i wróciłam do przygotowywania zajęć, nie mogłam powstrzymać uśmiechu. Od tej szybkiej rozmowy waliło mi serce i kręciło mi się w głowie, dawno tak nie miałam po gadce z facetem. Był szokująco przystojny i miał szybki, zabawny sposób bycia, dokładnie taki, jak lubiłam.

Nie wiedziałam nawet, czy kogoś ma i jakie są jego zamiary, oprócz tego, że podobno potrzebuje artystki. Boże, z tego, co wiedziałam, on ciągle mógł być z Haisley. Szybko coś sobie obiecałam. Jeśli tak było, to po pierwsze, już ja znajdę sposób, żeby zepsuć jej dzień, a po drugie, zwieję tak daleko, jak to możliwe. Bo w końcu są jakieś granice wybaczenia.

Wiedziałam tylko tyle, że przy nim czułam się jak z

powrotem w szkole, gdzie zwykle spojrzenie mogło wprawić moje serce w łomot i wywołać rumieniec. A poza tym z jego strony to było więcej niż spojrzenie, prawda?

Wzięłam głęboki wdech dla uspokojenia. Po prostu musiałam pamiętać o planowanych studiach. To był mój priorytet, bez względu na to, kim Ryan się stał i czego chce. Paryż. Moja przyszłość. Moje marzenie. Wszystko zależało od tego, czy w styczniu wsiądę do samolotu i rozpocznę nowy rozdział życia. Miałam nadzieję, że to będzie taki rozdział, w którym zaczyna robić się ciekawie. Bo jak dotąd księga mojego życia należała raczej do tych, w których przerzucasz kartki i zastanawiasz się, czy warto było wydać na nią parę dolców.

Po prostu musiałam o tym pamiętać. Miałam w życiu coś, o czym mogłam myśleć, i ostatnia rzecz, jakiej było mi potrzeba, to zakochać się w faciecie, który mógłby sprawić, że postanowię zostać i przegapię szansę.

Ale naprawdę potrzebowałam prawdziwej pracy. Choć bardzo lubiłam wieczory poświęcone sztuce w domu spokojnej starości, to jednak nie do końca była to Kaplica Sykstyńska.

Zacinając się i jękając, rozpoczęłam lekcję na temat mieszania farb i przygotowywania palety kolorów przy większym projekcie.

Więcej niż raz pożałowałam mojego zaproszenia, bo nie mogłam się powstrzymać, żeby nie spoglądać ukrad-

kiem na Ryana. Powiedzieć, że dobrze wyglądał, to za mało. Już prędeż, że ktoś wyrzeźbił go z solidnego kawału skryzalizowanego kobiecego pożądania i postawił prosto przede mną. Był dokładnie wszystkim, co nazywam sexy. Pewny siebie, ale nie do przesady. Ciemne, gęste brwi, ciemne włosy, wygląd dokładnie w połowie drogi pomiędzy bohaterem filmów akcji a takim, który gra główną rolę w romansach. Mogłam sobie wyobrazić, jak nawala Ruskich przy sterze porwanej łodzi, ale też jak w czasie burzy podrywa dziewczynę i wyznaje jej dozogonną miłość. No dobra, kogo ja próbuję oszukać: wyobrażałam sobie, jak podrywa mnie w czasie rzeczonoj burzy.

Albo minęło zdecydowanie zbyt wiele czasu, od kiedy jakiś facet poważnie zwrócił na mnie uwagę, albo w Ryaniu naprawdę było coś szczególnego.

Nieomal czułam, jak mózg pstryka do mnie mentalnymi palcami, żeby przyciągnąć moją uwagę, jakby próbował powiedzieć: wiesz, co ty masz w sobie szczególnego? Jajniki zamiast mózgu! Paryż! Szkoła! Twoja zawodowa i finansowa przyszłość. Twoje marzenia.

Ale moje jajniki były zbyt zajęte snuciem jednej niepoważnej fantazji po drugiej, żeby słuchać mózgu. Póki patrzyłam na pana Wyśnionego, w mojej czaszce nie było miejsca na logikę. Wszędzie tylko małe serduszka i emotki z pocałunkiem. Nie pomagało nawet przypominanie sobie, jakim gówniarzem okazał się pod koniec szkoły

średniej. No bo to przecież było kiedy? Jakiś milion lat temu? Dwa miliony? Jak mogłam winić jego i te jego jasnobrązowe oczy o coś, co wydarzyło się tak dawno temu.

Ryan chyba rzeczywiście koncentrował się na pracy, ale nie szło mu najlepiej. Z ulgą stwierdziłam, że żartował z tym malowaniem palcami, ale trzymał pędzel, jakby podejrzewał, że będzie nim musiał komuś przywalić. Zatrzymywałam się, żeby mu pomóc, częściej niż przy seniorach, bo w dodatku był upośledzony kolorystycznie.

– Co otrzymasz, kiedy zmieszasz żółty i czerwony? – spytałam.

– Brązowy – odpowiedział z przekonaniem.

Próbowałam się nie roześmiać. Traktowałam swoje zajęcie poważnie, nawet jeśli moje wynagrodzenie było niższe od minimalnego i nie pokrywało kosztów materiałów. Moi rodzice nigdy nie wspięli się wysoko po szczeblach kariery, ale nauczyli mnie wykonywać pracę rzetelnie, bez względu na to, jaka by ona była. Dla mojego taty oznaczało to mycie podłóg w biurówkach, a dla mamy umawianie wizyt u dentysty. Ale pokazali mi, że liczy się duma z dobrze wykonywanej pracy, a nie tylko odwalanie roboty.

Tata zawsze potrafił tak ubrać rzeczy w słowa, że czepiały się mojego mózgu. Ciągłe pamiętałam, co powiedział, kiedy oznajmiłam, że chcę zostać artystką. Nie zniechęcił mnie, nie wspomniał, że nie ma z tego pieniędzy. Zamyślił się na chwilę, wziął głęboki wdech i pokiwał

głową. „To świetnie. Niektórzy będą próbowali podciąć ci skrzydła, ale to ci sami, którzy podcinałoby ci skrzydła, gdybyś chciała zostać hydraulikiem, kucharką albo sekretarką. Rób dobrze to, co robisz, i nie zwracaj na nich uwagi”.

Więc kiedy Ryan popatrzył na mnie tymi marzycielskimi, jasnobrązowymi oczami, skierowałam spojrzenie na jego paletę i skupiłam się na zadaniu. Mój tata chciałby, żebym w tej chwili pamiętała, że mam uczyć sztuki, a Ryan rozpaczliwie wymagał nauki.

– Tak naprawdę otrzymasz pomarańczowy.

Bez namysłu chwyciłam jego dłoń i pomogłam mu zmieszać farby bardziej kolistymi ruchami, zamiast agresywnego dziobania, które praktykował do tej pory. Jak tylko skończyłam, zabrałam dłoń z jego niebywale ciepłej i wspaniałej ręki, czując falę łaskotek w miejscu, gdzie moja skóra go dotykała.

– Hm – powiedział. – Nie jestem pewien, czy zrozumiałem tę technikę. Możesz mi pokazać jeszcze raz?

Niewiele brakowało, żebym go palnęła i zaczęła chichotać jak idiotka, ale kiedy się odwróciłam i zacisnęłam powieki, zdołałam się powstrzymać. Paryż. Powtarzałam to słowo w głowie jak mantrę. Do tej pory doskonale mi szło unikanie mężczyzn. Krok po kroku czułam, że przezwyciężam dziewczęcą głupotę, która groziła ślepotą i głuchotą na zdrowy rozsądek.